



GDAŃSK
morze możliwości

Radio Gdańsk

Znani - nieznani. Halina Słowjewska i Marian Kołodziej

Intymność nie na sprzedaż

Mówi się o nich: z nimi dość trudno. Po pierwsze, bo nie mają intymności na sprzedaż. Po wtóre, bo co mieli do powiedzenia (w granicach przyzwoitości) – powiedzieli. Ona – słowem swoim, zapożyczonym i czynem. On – nawet zilustrował. Absolutnie nic więcej nie mają do powiedzenia. Czyżby?

Mowa o Halinie Słowjewskiej i Marianie Kołodzieju, małżeństwie artystycznym, jakiego próżno szukać ze świecą po świecie.

Część pierwsza: tekstylna

Kiedy się poznali? Halina: wiek temu. Marian: chwila. Jeśli prawda leży między chwilą a wiecznością... leży pomiędzy nimi.

Zaczęło się od tekstyliów. On pierwszy dostrzegł jej beczelnie, wyzywająco brzydką sukienkę w kratę. (Ona uważała ją za całkiem szykowną). Wprawnym okiem scenografa wyłapał rzucając kontrast między niezwykłą, niepokojącą urodą świeżo przybyłej do Gdańska aktorki a brzydotą opakowania. Ona nie pozostaje mu dziś dłużna.

- A ty wtedy chodziłeś w takiej okropnej tweedowej marynarce.

- O klasę lepszej. Przywiozłem ją z Pragi, czeskiej Pragi, a twoja krata była z warszawskiej.

Wyglądałoby na to, że zwrócili na siebie uwagę dzięki tekstyliom. On był bardziej doświadczony (o czym nie wiedziała) i na zewnątrz na pewno nie polegał. Może więc zwróciła jego uwagę swoją pryncypialnością? Gdy świeżo przybyła, wystąpiła ostro na zebraniu związkowym przeciwko wyborowi Andrzeja Szalawskiego na szefa gdańskiego ZASP-u, co się jak wiadomo rzadko zdarza. W nagrodę za przebojowość wybrano właśnie ją i to jej zostało do dziś.

Przez tę sposobność wychodzi na jaw, że w związkową działalność zanurkowała nie dopiero po Sierpniu 1980, po wizycie aktorów u strajkujących w Stoczni Gdańskiej, po dawanych wtedy strajkowiczom koncertach poetyckich – ramię w ramię związkowcy z partyjnymi – a więc nie w dniach narodowych uniesień, a już



Na tej „komiksowej” planszy jest wszystko, co się między nimi zdarzyło. Proszę tylko dokładnie się przyjrzeć.

Rys. Marian Kołodziej. Fot. repr. Maciej Kostun

w końcu lat sześćdziesiątych. W czasach pomarcowych czystek (np. Róża Ostrowska została wtedy zdjęta z funkcji kierownika literackiego teatru Wybrzeże), czasach smutnych, pracowitych, mało efektownych. Zresztą czasy jeszcze smutniejsze, jeszcze bardziej wyczerpujące, np. od działań skrywanych przed publicznością, nastąpiły dla Haliny z ogłoszeniem stanu wojennego w grudniu 1981 r. Te nadal egzystują w głębokim cieniu. I w jej sercu.

No więc jej przebojowość wtedy mogła Kołodziejowi wpaść w oko. Ostatecznie przypieczętowały sprawę pewne imieniny u Stasia Michalskiego. Staś mieszkał wtedy już w falowcu przy Piastowskiej w nowej Oliwie. Halina – w nowojelitkowskim bloku miała pokój z kuchenną wnęką. To niedaleko. A że był maj, Marian po imieninowej balandze (u sekretarza POP PZPR!) odprowadził Halinę do domu. Szli na przełaj, na skrót, przez pola. Doszli i... Marian już nie wrócił do teatralnej komunalki na Matejki we Wrzeszczu.

Tu się kończy część tekstylna.

Część druga: rehabilitacyjna

Był rok 1992. Wrócili właśnie z Paryża, gdzie pokazywali „Dialogi karmelitanek” Georges’a Bernanosa, do swojej dziupli przy Mariackiej. Zasiadli do herbaty. Nagle Marian dziwnie zeszywniał i osunął się na ławę za stołem kuchennym. – Udar mózgu – stwierdził przybyły w karetce pogotowia lekarz ginekolog. I z wrodzoną ginekologom delikatnością, zarzuciwszy Kołodzieja na plecy, przy pomocy sanitariusza tudzież Haliny Słowjewskiej, stargał go na dół po schodach, cztery piętra. W karetce Kołodziej, który nie stracił przytomności, czuł się podczas transportu jak w wozie drabiniastym, pędzącym po wyboistym bruku. Całe ciało podskakiwało! Zresztą nie bardzo wiadomo po co tak pędzili, bo w izbie przyjęć przeleżał kilka godzin, nim się nim serio zajęto. Że też on wtedy nie wyzionął ducha! Albo nie zrosłinniał... Ale najwidoczniej Bóg miał wobec niego inne zamiary. Jeszcze nie wypełnił był swojej misji na ziemi. Ona też była cały czas przy nim.

Dla nich dwojga otwarła się teraz zupełnie nowa karta życia. Jej imię medyczo-prawnicze: rehabilitacja. Jakby musiał zadośćuczynić za jakieś swoje przewiny. Choć miał już za sobą np. pięć lat kacetu i np. ołtarz – okręt dla Jana Pawła II na Zaspie w 1987 r., spotkania z Nim w oliwskim pałacu arcybiskupim, w Castel Gandolfo. Spotkania, które, zdawałoby się, same rozgrzeszają...

Halina stała się teraz siostrą rehabilitantką. Zanim jednak przeszli do rehabilitacji domowej, była próba uruchomienia połowy niewładnego ciała na neurologii (pomińmy gdzie, a zaraz będzie wiadomo, dlaczego) tudzież w ośrodku w Dzierżaniu.

Było tak. Kończył się pobyt Mariana na neurologii, a przypadkiem był to dzień deratyzacji oddziału i zaprawione w podobnych bojach myszki przemieszczały się po pomieszczeniach, unikając zatrutych miejsc. Przerazona pielęgniarka na ich widok wskoczyła na taboret, wzywając pomocy, wobec czego Halina sama zabrała się do wkładania Marianowi skarpetki na niewładną no-

gę. Nagle poczuła, że poruszył stopą! Naprawdę poruszył, nie była to przerażona mysz, która wyskoczyła ze skarpetki!

Halina, z marsową miną, wypaliła coś ordynatorowi o stosowanych u nich nowych metodach terapii, przy pomocy żywych myszy. Sama omal nie ugotowała się widząc, jak blednie, czerwienieje i najchętniej zapadłby się pod ziemię. A ona tak się cieszyła, bo Marian wreszcie poruszył stopą! Dzięki niepozornej, szarej myszce zablęsnęła nadzieja.

Część trzecia: wyjście z katakumb

Po dwóch tygodniach w Dzierżaniu, o których nie chcą pamiętać, Halina zabrała Mariana do dziupli na Mariackiej na domową rehabilitację. Taki był początek słynnych dziś w świecie „Klisz pamięci”.

Żmudne uruchamianie ręki okazało się uruchomieniem pamięci. Albo otwarciem jej zdawałoby się zamkniętego na głucho, zapomnianego pomieszczenia. Takiego magazynu staroci, odpadków, śmieci. Wypartego z pamięci, aby nie kaleczył życia.

Pierwsze rysunki, powstałe na początku rehabilitacji, są pełne widocznej rozpacz. Krzyczą: „nie, nie podołam, nie potrafię, nie uda mi się, nic z tego nie będzie!” Przywiązany do palców ołówki dosłownie ryje, bruździ papier. Jakby to miała być rzeczywistość klisza, negatyw do odbicia na innym papierze pozytywu.

Stopniowo charakter „kliszowości” ustępuje na rzecz precyzji, subtelności rysunku. Rozpacz jest stopniowo przezwyciężana przez nadzieję. Niezależnie jednak od wszystkiego decyzja Kołodzieja, że za „temat” rehabilitacji obiera obozowe wspomnienia, oznaczała jedno: dobrowolne zamknięcie się w Auschwitz ponownie. Na ile lat? Sam nie miał pojęcia. Myślał frazą Zbigniewa Herberta: „Masz mało czasu trzeba dać świadectwo”. Myślał może rok, dwa. Mija już czterdzieście, a on tam ciągle jeszcze jest. Stale uzupełnia, dopowiada, doprecyzowuje swoje „Klisy pamięci”, od niemal dziesięciu lat egzystujące w podziemiach kościoła

Franciszkanów w Harmęczach (były podobóz Auschwitz – Harmensee). W tym czasie, dzięki autor-skim podpowiedziom, „Klisy” znacząco zmieniły swoją wymowę. Z dokumentu ostatecznego ludzkiego upodlenia, przeprowadzającego przez labirynt tych, którzy gotowi są podjąć taką wędrówkę, przekształcili się w swoiste homagium ku czci św. Maksymiliana Marii Kolbe. To on, jego czyn, ofiarowanie się dla bliźniego okazało się przezwyciężeniem – jeśli w ogóle tak można porównywać – niezmiernie pogardy, jaką tu każdego dnia i o każdej porze okazywano ludziom i wartościom, które czynią ich ludźmi.

Tak to dziś widzi sam Marian Kołodziej. Pan Bóg wcześniej go nie zabrał, bo przeznaczył mu jeszcze zadanie rozpromienienia w Polsce kultu św. Maksymiliana. Całkiem niedawno pojawił i odczytał tę zaległą misję. Swoją ekspozycją wprowadza on widza jakby w pierwsze lata przesładowań chrześcijan, do katakumb. Ale i symbolicznie wyprowadza z nich, wskazując Przewodnik Drogi. To najpierw Chrystus, który tu, w Oświęcimiu, został ukrzyżowany. To o Maksymiliana Maria Kolbe, który tu, w Oświęcimiu, w imię miłości bliźniego, dobrowolnie dał się zamęczyć.

Byłem tam. Przeszedłem tylko raz harmęskie, kołodziejowe katakumby. Jest to przejście, którego nigdy nie zapomnę. A co mam powiedzieć o niej, o Halinie Słowjewskiej, która razem z mężem swoim, Marianem Kołodziejem, jest w nich stale obecna, od czterdziestu lat? Której duszę Oświęcim równieź przeorał głęboko, bardzo głęboko? Wiele, bardzo wiele, ma do powiedzenia o miłości bliźniego...

Wertując „komiksowe” plansze, na których Marian zapisał kronikę ich wspólnego życia, artystycznego i po prostu życia, w jednym się utwierdzam. Najlepsze, co mogło zdarzyć się Kołodziejowi, co „Zdarzyło [mu] się w Gdańsku”, nosi skromne imię Halina. – A pani? – pytam. Patrzy tak wymownie, że nie wiadomo, gdzie czytać podziak.

Tadeusz Skutnik